

Marian Lech Bednarek

DLACZEGO?

O czym słońce gada pode mną? – co zwie się krzesłem? Przede mną – co zwie się stosem książek na stole? Za mną – co zwie się wyłączonym przed chwilą radiem, w którym reklamowano energię słoneczną w postaci proszku do prania? Dzwonek u drzwi. Otwieram. Nie ma, mówię. Powracam do pytania, ale z innej już perspektywy, bo perspektywa już taka jest, że w garści ludzi trzyma. Zrobienie sobie modnego ostatnio tatuażu na nic tu się nie zda, myślę. Znowu na chwilę siadam. Przechodzę od czynności do czynności jak w muzeum znaków.

Dopada mnie noc. Siadam na rower i jeżdżę po pustych uliczkach. Wjeżdżam na cmentarz. Nade mną gwiazdy. Pode mną płonące świece, a we mnie prawo nacisku na pęcherz. Sikam na ścieżkę. Przeszywa mnie dreszcz strachu, że obudzę tym jakiegoś nieboszczyka a on pozostałych, wtedy całą bandą wyjdą i rzucą się na mnie, i urwą mi siusiaka. Marzę, żeby jak najszybciej znaleźć się poza bramą. Wreszcie udaje się. Ciepła, sierpniowa noc. W ciemnościach za trzepakiem do dywanów odgłosy kochanków. Przeleciała mnie myśl zazdrości, ale tylko przez chwilę.

Słońce dalej śpi. To niedorzeczność, pomyślałem, gdyż jest tylko po drugiej stronie kuli ziemskiej. Ale przecież od wieków utarło się, że życie jest snem. Rozwijam tę myśl, aż do stwierdzenia, że wszystko jest bredzeniem uniwersalnym a nawet transcendentalnym, włącznie z tym, że słońce to tylko sen. Dojeżdżam rozgrzany. Wszędzie czają się normy zamykania się. Słysząc zgrzyt zamka. Słońce zamienia mi się w pytanie, w jedno wielkie gorące, kłębiące się pytanie: *Dlaczego my żyjemy? Dlaczego właśnie tak żyjemy? Dlaczego nie inaczej?* I zaraz stają mi przed oczami miliardy żywych istot, które chciałyby być na moim miejscu i zadać to samo pytanie, ale nie jest im to dane. A także tańczące słońce na oczach 60 tysięcy ludzi 13 października 1917 roku pod Fatimą, gdy wszyscy z wrażenia padli na kolana w błoto i zaczęli się modlić, a Matka Boska z Józefem i Świętym Dzieciątkiem płynęli po niebie.

Od razu zacząłem wszystko dobrze robić. Dobrze się rozbierać, dobrze myć, dobrze wieszając ręcznik, dobrze się szwendać, dobrze mijać śpiących, by ich nie obudzić. Chciałem zasłużyć na moje miejsce. Patrzyło jakby oczami swych byłych właścicieli i stwórców. Usiadłem na skraju kanapy i pomyślałem, czy zamknięcie powiek i zaśnięcie jest jedyną

odpowiedzią na pytanie? Kanapa wciągnęła mnie. Ciało zsuwając się swoim wypróbowanym sposobem między zmiętym prześcieradłem a kołdrą, odnalazło swoją norę, swoją prajednię.

Wiedziałem, że zasypiam jako nieprzetłumaczalny na żadne języki, jawny byt.

wrzesień 2004

DESKA

Co by się stało, gdyby nagle przyszło dwóch facetów do mojego domu i wyrwali mi deskę z podłogi? Żeby to ząb od dawna chorawy, to co innego. Ale nie, deskę, i to zdrową. I rzuciliby się z deską w ten deszcz za oknem, który – jak podejrzewam – przygnał ich pod mój dach. Bo tak właśnie myślę, że to przez ten deszcz ludziom czasem odbija. Albo, że oni tak zupełnie niezależnie od tego deszczu zmówili się i przyszli po moją dechę, by mi życie pokieroszować? Tak, jak to robi przeciętny najeźdźca, okupant, przestępca. I co ja bym wtedy ujrzał w tej dziurze w podłodze oprócz pajaków i kurzu? Jakiś grób lub zemstę za to, że oni tam teraz tą moją deską ulepszają sobie gdzieś życie? Że wywindują się na niej do góry, robiąc najdłuższy na świecie parapet, czy coś innego dla *Księgi Guinnessa*? Że użyją jej do nie wiadomo jakich celów? Bo wątpię, żeby wyrwali ją dla zwykłego spalenia w piecu, by się ogrzać. Zbyt duży wysiłek, nieproporcjonalny do zamiaru.

A co by się stało, gdybym nagle ujrzał ją na rynku miasta, zawieszoną na ratuszu, nadal w dobrym stanie, tę moją deskę ze znajomymi plamami po farbach, zaciekami, sękami i gwoździami, i beczelnie podpisaną moim nazwiskiem. Czy musiałbym się po nią wdrapywać, by usuwać burzycielkę porządku publicznego i jeszcze potem płacić mandat? Czy dostałbym raczej jakiejś deskofilii i odwieźliby mnie do czubków na Gliwickiej w naszym mieście?

A co by było, gdybym ujrzał ją porzuconą na ulicy, w godzinie szczytu? Czy chciałoby mi się z tą sześciometrową dechą, w tym moim schludnym ubranku paradować przez miasto, potrącając ludzi i tamując ruch? Nie. Czy wziąłbym bagażówkę? Prawdopodobnie też nie, bo w ogóle jakoś głupio by mi było przyznać się, że to moja deska na ulicy leży. I na transport jej szkoda by mi było kasy, bo ostatnio kiepsko u mnie w tych sprawach.

A jednak każdy moment mojego odejścia grozi jej utratą. Bo ekonomicznie rzecz biorąc, musiałbym kupić nową dechę, wyheblować ją, dopasowywać, kupa roboty, jak przy zakładaniu nowej podłogi. I kto by takiej długiej desce odpuścił? A z innej strony, czy nie

wyszukiwałbym jednak tysiąca powodów, by się jej mimo wszystko pozbyć? Po prostu pójść przed siebie, nie oglądając się za tą wariatką, jakby to nie była moja deska.

A jednak wiem, że na nową mnie nie stać. Trudno w to uwierzyć, ale tak jest, artyści tacy jak ja mało zarabiają, więc stałbym tam nad nią jak nad psem, który robi dużą, antyspołeczną kupę i pewnie mi się za to zaraz oberwie od jakiegoś gliniarza, jeśli nie zrobię z tym porządku. A wszyscy we mnie (gdyż podobno w człowieku kryje się cała ludzkość) podszeptyaliby z krzykiem: *Weź, weź ją! Nie. Nie bierz jej! Zostaw ją! Rznij tym i wyjedź stąd! Wyjedź, to będzie twoja najlepsza deska życia. Zawsze przecież o tym skrycie marzyłeś, żeby gdzieś wyjechać stąd, daleko. Wyjeżdżaj! Spieprzaj, spierdalaj stąd!!!! No spierdalaj!!!*

I leciałyby te sprzeczne w sobie podszeptywanki i podburzanki: *Weź, weź, weź tę cholerną dechę i przywal pierwszemu lepszemu, bo jak nie, to z moich oczu wyleje się nieskończona ilość taczek betonu i cię zaleje na zawsze!* Tak, ten beton spojrzenia bliźnich, któż go nie zna? Codziennie trzeba się z niego myć i czyścić. Okropnie się wżera w duszę. Więc z pewnością stałbym tam nad tą deską bezradny, obcinany przez wszystkie noże, piły i wiertła spojrzeń bliźnich, i myślał o tej sześciometrowej dziurze w mojej podłodze, która nie dałaby mi normalnie żyć. Chyba że nagle ujrzałbym to „Nagle” – ten błysk, gdy po schodkach negacji stąpa się bardzo lekko, jak w stanie satori w buddyźmie zen. Ale gdybym nawet doznał oświecenia, to i tak ta dziura w podłodze by nie zniknęła. Zatem nie chodzi tu o żadną deskę, tylko może o jakąś radość z pisania, o tę płomienną myśl, która za pomocą deski chciała zapłonąć jakimś pytaniem przekraczającym mój umysł.

Nadal pada deszcz, słyszeć kroki kropel.

DWA SZKICE O RĘCE

1.

Naturalnym stanem ręki jest jej zwis, nawet nie branie czy dawanie, ale sam zwis. Ręka najwięcej daje, gdy spoczywa w spokoju, gdy jest nie ludzka, jak mawiał Blake, wtedy to właśnie spełnia się jej głęboki sens religijny a nawet ponadreligijny, urasta do rangi prawdziwego bytu, tak jaskrawo różnego od wszelakich wulgarnych zachowań społecznych, typu „wyruszanie na poszukiwanie pożywienia”. Czy to nie za mało? Czy to wystarczy? Bo idąc za myślą Blake’a, to faktycznie, ręka w takim stanie może ciekawie wyglądać, nieludzko, albo jakoś ponad ludzko, ale jak żyć bez tej ręki czupurnej, dającej i biorącej pożądliwie?

Wszak człowiek w myśl filozofii antropocentrycznej jest centrum i celem Wszechświata. Może Blake'owi chodziło tylko o jakąś mistyczną rękę? O sam obraz ręki?

Ręka w ozdobach to zapewne jakaś śpiąca księżniczka, stara dama lub królowa, lub jakiś inny możnowładca, albo po prostu tani efekciarz, ale na pewno mówi: „nie dajcie się oszukać”.

2.

Ja tobie. Ty mnie. Ja sobie. Ty sobie. Ja jemu. Ty nie jemu. Wstrzymujesz się. Ja zaczynam denerwować się. Ty już nie masz ręki, nie masz siebie. Przyprawili ci protezę. Po co? Żebyś udawała nie siebie? Żebyś myliła innym rękę? Gdyby chciały zajrzeć ci pod paznokcie, sprawdzić wszystkie twoje blizny i ten wstydlivy tatuaż, nie mówiąc o muskulaturze i dotyku duszy, ukrytym w czubkach palców. Muskulatura doprawdy podnieca kobiety, może nawet bardziej niż dusza, więc uważaj na swoją drugą, jeszcze prawdziwą rękę, którą w tej chwili podnosisz, by przypieczętować swoje miejsce na ziemi.

Właśnie jest wiosna. Byk spoziera na twoje czerwone paznokcie, ale nie jest na tyle rozjuszony, by poczuć się jak w Hiszpanii. Dużo roboty – mówisz – umyłam duże okna i cały ogród przeczesalam, by nadać mu wiosenną fryzurę. Już wypluwam z siebie odciski, odpoczną.

Byka wkrótce sprzedaliśmy. Nie był już do niczego potrzebny. Wszyscy w okolicy pozbyli się krów i zaczęli doić kobiety. Wiadomo do czego to doprowadziło – stąd te dzisiejsze smutne czasy. Kobiety nie nadążają z mlekiem, bo kobieta nigdy krowie nie dorówna, ledwo co wykarmi jedną rękę albo i dwie, i to wszystko. Sprowadza się więc prawdziwe mleko z krainy, która pozostała w ukryciu, zepchnięta, ale jednak nadal potrzebna, by ręka w całej okazałości mogła zaistnieć, zatańczyć. Niemniej dojenie zeszło na boczny tor. Nie mleko teraz pryska lecz orgazm. Kompozycje natury rozerwał granat perwersji. Pijemy zatem orgazm i wstrząsani nim, osiągamy własny. Ręka nie szuka wymiona krowy, lecz właściwie dziury umysłu, by palcem zatkać sączącą się stamtąd przerażającą pustkę. Krowy się z ludzi śmieją. Jestem tego w stu procentach pewny, gdy patrzę w ich wielkie jak rozdygotane donice, oczy. To impresja. Czy lęk może być impresją?

z:



TUARZ BOGA, 2003

Rysunki: Marian Lech Bednarek